

MIÓD I PIĘKNE DZIEWCZĘTA



Do Krakowa dojechalismy wieczorem, tak że zobaczyłem jedynie wysokie mury okalające gród.

– Bramy już zamknięte – powiedział kuglarz.

Musiałem zrobić smutną minę, bo trącił mnie łokciem i mrugnął wesoło.

– Mało kto ma wstęp do miasta o tej porze. Na szczęście jest na podzamczu karczma... gdzie czekają miód i piękne dziewczęta.

Natychmiast odgadłem, że kuglarz był tu częstym gościem, bowiem stojący w bramie chłopak uklonił się nisko, rzuconą monetą złapał w locie i pobiegł do karczmy, wykrzykując coś radośnie.

Mój nauczyciel tymczasem skinął na dwu siedzących przed karczmą osiłków i wskazał im stojący na wozie kufer. A potem weszliśmy do środka.

W pierwszej chwili wydało mi się, że śnię. Ktoś, kogo wziąłem za dziecko, okazał się miniaturowym mężczyzną o groźnym obliczu. Na widok kuglarza zeskoczył z ławy i podbiegł ku niemu na nienaturalnie krótkich, pałkowatych nogach. Przeżegnałem się ukradkiem, bowiem nigdy w życiu nie widziałem podobnego dziwoląga.

– Niewiele jeszcze widziałeś! – roześmiał się kuglarz i rzucił na stół kilka monet.

Natychmiast pojawił się przed nim barani udziec i dzbanek wina, ja zaś przysiadłem obok, rozglądając się dokoła. Byłem

zbyt podniecony, aby odczuwać głód, jednak kuglarz nakazał, abym zjadł cokolwiek.

Żując powoli aromatyczne mięso, zastanawiałem się, jak to się stało, że w jednym miejscu zebrali się ludzie, których nie widywałem nawet w snach.

Kobieta zalotnie opierająca się o ramię mojego pana miała gęstą ciemną brodę, a twarz siedzącego naprzeciwko mężczyzny porośnięta była gęstym futrem niby pysk wilkołaka.

Może trafiliśmy do piekła? – przemknęło mi przez myśl.

– Bo to jest, co by nie rzec, piekło – powiedział kuglarz, kiedy trwożnie przysunąłem się do jego boku. – Oto wszyscy ci, którzy zostali dotknięci przez los... Ludzie boją się ich i podziwiają. Płacą, aby móc ich zobaczyć. Ale nie ma w tym niczego nadprzyrodzonego – wyjaśnił. – Od czasu do czasu natura płata figle i przychodzą na świat dziwne twory.

– Tak jak ja – powiedziałem, dotykając ognistego znamienia przecinającego moją twarz*.

Kuglarz przysunął do siebie pusty kubek i nalał doń czerwonego wina.

– Twoja twarz... – mruknął. – Cóż, dla kobiet może wydawać się pociągająca. Niezwykła. Niczego jej nie brakuje. To znamię zdradzać może charakter... temperament... a może wolałbyś wyglądać tak jak... – wskazał mężczyznę o nienormalnie wielkiej głowie. Nieznajomy zadzierał ją ku górze, zupełnie jakby nie mógł znieść jej ciężaru. – Albo tak?

Siedzący w kącie kształt, który początkowo brałem za dwójkę przytulonych do siebie kobiet, był w rzeczywistości jednym ciałem o dwu torsach, czterech rękach i jednej parze nóg. Najbardziej przerażające było to, iż obie połowy toczyły ze sobą głośny spór.

* Czerwone znamię na twarzy nazywane „płomieniem” uważane było za skutek zapatrzenia w ogień kobiety spodziewającej się dziecka lub ślad iskry, jaka padła na jej policzek. Ludzie tak naznaczeni mieli posiadać nadzwyczajne zdolności, ale też wykazywać niewielką odporność na pokusy szatana.

Poczułem, jak moje ramiona pokrywają się gęsią skórką.

– Nie masz się czego bać – uspokoił mnie mój towarzysz i podsunął mi ciężki, gliniany dzban. – Zanieś im wina.

Pokręciłem głową. Nawet diabeł nie zmusiłby mnie do ruszenia się z miejsca.

– A jednak nalegam – rzekł kuglarz. – To ludzkie istoty. Podobnie jak ty i ja odczuwają chłód i głód, ból i gniew. Rzadziej radość – rzecz jasna.

Wstałem i na miękkich nogach zrobiłem parę kroków, licząc, że kuglarz zawoła mnie z powrotem. Ale nie zrobił tego, tylko zachęcająco kiwnął głową.

Potworna istota dostrzegła jego ruch, a co za tym idzie – i mnie. Powoli podniosła się z ławy i przepychając się przez biesiadujących, ruszyła w naszym kierunku.

Poczułem, iż nie mogę ruszyć się z miejsca.

– Co za miły chłopiec – odezwała się skrzekliwym głosem jedna z połówek, a druga zawtórowała jej śmiechem.

Dwie pary rąk wyciągnęły się w moją stronę.

Dłonie, które przyciągnęły mnie do rozwidlonej piersi, były miękkie i ciepłe, nie zaś trupio chłodne, jak się tego spodziewałem. Bez wątplenia były to żywe istoty, podobnie jak ja obdarzone rozumem.

– Nie przestraszcie go na śmierć, siostrzyczki! – roześmiał się kuglarz i rozlał resztę wina.

– Piękny chłopiec – kontynuowała pierwsza z sióstr. – Nosi w sobie ogień.

Dłoń o krótkich, grubych palcach dotknęła mojej twarzy.

Oto znajdowałem się w piekle, w objęciach samego szatana, i nadal byłem żywy.

– Dalej mamisz ludzi sztuczką z monetami? – zapytała druga z głów.

– Dalej – odparł kuglarz. – Póki ludzie żądni będą srebra, póty będę ich wodził na manowce.

– A ten tutaj? – odezwał się karzeł, wykrzywiając twarz w grymasie, który zapewne miał być uśmiechem.

– To mój sługa, towarzysz i uczeń – odparł kuglarz. – Na razie umie skrzesać ogień, ale nie wiadomo, co z niego wyrośnie...

Ciepło buchające z paleniska i pełen brzuch sprawiły, że poczułem senność silniejszą niż lęk.

Oparłem głowę na stole i zamknąłem oczy. Śmiech, muzyka i głosy ludzi zamieniły się w odległe brzęczenie.

Obudziłem się, kiedy kuglarz podniósł mnie z ławy jak szczeniaka.

– A któż to widział spać przy stole! – roześmiał się. – Do tego służy łożo. Zasnął, jakby napił się wina – dworował, idąc przez podwórze w stronę stajni, gdzie przygotowano nam posłanie.

Słoma chrzęściła przy każdym ruchu, a siano wyłożone w żłobach pachniało tak mocno, że aż kręciło mi się w głowie.

– Nie umiem zajmować się dziećmi – westchnął kuglarz, okrywając mnie derką.

Sam wyciągnął się obok, zaplótłszy ręce pod głową.

Obudziło mnie donośne pianie koguta. Dorodny ptak siedział na belce tuż nad moją głową i raz po raz oznajmiał wschód słońca.

– Zamknij dziób, łajdaku, bo zrobię z ciebie rosół! – zagroził kuglarz.

Kogut sfrunął z belki i majestatycznie pomaszerował ku wyjściu.

Kuglarz odwrócił się na drugi bok i ponownie zapadł w sen. Ja zaś usiadłem na swoim posłaniu i rozejrzałem się dokoła. Przez szparę w ścianie widać było podwórze i stojące na nim wozy. A ponad ich dachami coś lśniło w słońcu.

Przetarłem oczy i wyszedłem na zewnątrz.

Po drugiej stronie rzeki wznosiło się wzgórze, na którego szczycie tkwiła przedziwna budowla, jakiej dotąd nie widziałem.

– Wawel – powiedział stojący obok mnie chłopak. Miał okrągłą twarz i niebieskie oczy.

– Wawel? – zapytałem. – Zamek króla?

– No przecie. A cóżeś myślał? Że niby kto tam zamieszkuje?

Wawel znałem z opowieści kuglarza, ale nie przypuszczałem, że może wyglądać w ten sposób.

Prawdę powiedziawszy – jako że nigdy żadnego zamku nie widziałem – myślałem, iż wygląda jak dom wielebnego, tylko nieco większy. Ale czegoś takiego się nie spodziewałem. Zamek był większy niż plebania, ba, nawet niż sam kościół!

Kuglarz pojawił się za moimi plecami, bezszelestnie niby duch.

– Oto i zamek królewski na Wawelu – rzekł, kładąc mi rękę na ramieniu.

– Pójdziemy tam? – zapytałem.

Jeśli zamek królewski był tak wielki, jak też wyglądać mógł sam król?

– Pójdziemy – uśmiechnął się.

Poprowadził mnie pod studnię, gdzie umyłem twarz i przyglądałem sterczące włosy.

W karczmie czekał na nas świeżo upieczony bochen chleba, gomółka sera i dzban wody.

– A teraz w drogę – rzekł kuglarz. Zajrzał do stajni, aby sprawdzić, jak się miewa nasz siwy koń, i wyruszyliśmy.

Nasamprzód podeszliśmy pod bramę, tę samą, która była wieczorem zamknięta, i weszliśmy do miasta.

Przeciskałem się przez tłum, trzymając się skraj kaftana mojego nauczyciela. W uszach świdrował dźwięk piszczałek, ogłuszało dudnienie bębenków, a nad całym tym zgiełkiem górowały donośne głosy strażników starających się utrzymać w ryzach ciżbę.

Kuglarz szedł środkiem ulicy, torując sobie drogę wśród tłumem, bowiem – jak mi to później wyjaśnił – po obu stronach ulicy płynęły nieczystości.

Parciany worek z pochodniami i zwojem grubej liny niósł na ramieniu, a zachowywał się tak, jakby często gościł w Krakowie.

– Tam kupimy ciżmy – wskazał niski, długi budynek z podcieniami. – To Sukiennice.

– Co? – zapytałem.

– Sukiennice. Tam możesz kupić wszelki materiał, wełnę, skóry, ale i odzież.

– I ciżmy – dodałem.

W Sukiennicach było równie wielu ludzi, jak na ulicy. Na drewnianych ławach leżały bele sukna, kolorowe chusty, kaftany, pasy nabijane ćwiekami i ciżmy. Czerwone, zielone, proste i wymyślne.

– Ludzi tyle, jakby cały świat do Krakowa zjechał – powiedział gruby mężczyzna w niebieskim kaftanie.

– Jakby do waści przyjechali po towar, tobyście jutro mieszkali w pałacu – zażartował kuglarz i podał mi parę nowiułkich, czerwonych ciżem z zadartymi noskami.

Przyglądałem się im chwilę, myśląc, jak też je na nogi założyć, bowiem dotąd miałem tylko łykowe łapcie.

– Wsuń stopę do środka – powiedział kuglarz – i przejdź kroków parę, nie mogą być ani za duże, ani za małe.

Pasowały jak ulał.

– Jeszcze mi te żółte dajcie, jeno trochę większe – kuglarz wyjął z zanadru sakiewkę i rzucił kupcowi parę monet.

– A to czemu większe? – zapytałem.

– Bo ciżmy kupować tylko w Krakowie. Wrócimy tu za rok dopiero, na emaus*.

Od dziwnych słów, których spamiętać nie mogłem, aż kręciło mi się w głowie.

Postanowiłem, że zapamiętam, ile się da, a kiedy siądziemy do wieczerzy, zapytam, co znaczą.

Pozostawiliśmy moje łapcie pod ławą i poszliśmy dalej, tam gdzie leżał stos kolorowych kaftanów.

Ku mojemu rozczarowaniu, nie było ani jednego z dzwoneczkami.

– Mam ich sporo ze sobą – wyjaśnił kuglarz. – Iglę i dratwę** także.

* Emaus – zabawa ludowa urządzana w Poniedziałek Wielkanocny.

** Dratwa – nić konopna lub lniana.

Nowy kaftan był nieco za duży, ale kuglarz podwiązał go pasem.

– Potem pomyślimy, co z tym zrobić – rzekł.

Na zewnątrz powitało nas donośne bicie w bębny. Gwar na chwilę ucichł.

– Nic tu po nas – powiedział kuglarz i pociągnął mnie na bok.

– Co się dzieje? – zapytałem.

Wzruszył ramionami.

– Stawiają pod pręgierzem* niejaką Ofkę, miłośnicę kupca Bartłomieja – wyjaśnił.

– Ludzi kupa, to niczego waść nie zobaczy – odezwał się idący obok nas mężczyzna.

– Jakby było na co patrzeć – warknął kuglarz. – Własnym tyłkiem niech się zajmie.

– A wyście tacy mądrzy... – odparł zaczepnie nieznajomy. – Może i u was Ofka bywała...? Albo wy u niej?

– Ludzkim nieszczęściem bawić się nie godzi – rzekł kuglarz i spojrzał w twarz nieznajomemu.

Ten zaś jakby pobladł, dziwnie się zmieszał i zniknął w tłumie.

– Znają was tutaj? – zapytałem ostrożnie.

– Znają i nie znają – odpowiedział. – Sztuczki czas zacząć.

Uliczka prowadziła prosto ku zamkowi. Wąska, brukowana wystającymi nierówno kamieniami, o które zahaczałem noskami swoich nowiutkich ciżem.

– Bacz, byś nosa nie rozbił – zażartował kuglarz.

* Pręgierz – słup drewniany albo metalowy, lub kamienna kolumna, stojący zazwyczaj na rynku lub głównym placu miasta. Służył do wymierzania kary publicznej, z wyłączeniem kary śmierci. Zazwyczaj była to chłosta, piętnowanie lub okaleczenie. Karano w ten sposób za drobne przestępstwa jak kradzież, oszczerstwo lub oszustwo. Za dużą kradzież obcinano rękę, za drobną – obcinano uszy i włosy. Krzywoprzysięstwo groziło obcięciem palców prawej dłoni, ponieważ podczas przysięgi kładziono je na Biblii. Chłostą połączoną z wygnaniem karano za nierząd. Oszczercom wyrywano język. Wypalenie piętna było stosowane jako dodatkowe obostrzenie kary. Oślepienie stosowano niekiedy zamiennie do kary śmierci.

Zatrzymaliśmy się przed bramą kamiennego domu i kuglarz położył swój worek na ziemi.

– Zaczekaj tu – powiedział. – I miej baczenie na to.

Przykucnąłem obok worka czujny jak pies. Po chwili mój pan powrócił w towarzystwie wysokiego, chudego mężczyzny, którego nos przypominał ptasi dziób.

Kuglarz wyjął z worka zwój liny i zniknął w sieni domu. Za chwilę ukazał się w oknie i rzucił ją na ulicę.

Prawie natychmiast w przeciwległej bramie pojawiło się dwu wyrostków. Jeden z nich pochwycił koniec liny i zwinnie jak kot wspiął się ku oknu.

Patrzyłem na to wszystko szeroko otwartymi oczyma, nie mogąc się nadziwić temu, co działo się dokoła.

Kiedy lina została rozciągnięta ponad uliczką, kuglarz wyjął z worka piszczałkę, a mnie wręczył niewielki bębenek.

Grając i bębniąc, poszliśmy w stronę zamku. Idący w różne strony ludzie przystawali i gapili się na nas.

Wreszcie kuglarz zatrzymał się, spojrzał na gapiów i zamaszycie się uklonił.

– *Panowie i panie, szlachetni mieszczanie, niechaj bieży, kto żywy, zobaczycie cuda-dziwy... Ogień oswoję, śmierci się nie boję, sięgajcie po mieszki swoje, płąćcie sowicie, tu chodzi o życie...*

I nim zdążyłem uderzyć w bębenek, kuglarz wyjął mi go z ręki, odwrócił spodem do góry i kazał obejść zgromadzonych.

– Przecie to mistrz Avius! – wykrzyknął ktoś za moimi plecami i dostrzegłem mężczyznę o ptasim nosie. – Mistrz nad mistrze w igraniu z ogniem...

I wyciągnąwszy pękaty mieszek, wyjął z niego kilka miedziaków i rzucił je do bębena jak na tacę. Mieszek wydał mi się dziwne znajomy, ale nie odezwałem się słowem.

– Nie wiadomo, kiedy znowu do nas zawita! – wrzasnął chłopak, który przed chwilą wspinał się po murze.

Do bębenka posypał się grad monet.

– Jakubie! – zawołał kuglarz. – Zaczynamy!

Czując na sobie wzrok dziesiątek ludzi, drżącymi rękoma skrzesałem ogień. Kuglarz odpałał pochodnię od pochodni i wręczał je stojącym najbliżej ludziom.

Następnie zbliżył się do ściany domu, o którą oparto drabinę. Wszedł zwinnie na jej szczyt i rozłożył poły kaftana niby ptasie skrzydła.

A potem mocno i pewnie postawił stopę na linie.

Z sercem w gardle patrzyłem, jak przechodzi ponad głowami ludzi, zatrzymuje się na drugim końcu liny i przebywa tę samą drogę na rękach.

W ciszy, jaka niespodziewanie zapadła, słysząc było tylko gołębie i rzenie koni na podzamczu.

Kuglarz zeskoczył na ziemię i skłonił się głęboko. Pod nasze nogi posypał się grad pieniędzy.

– Odsuńcie się, waszmości, aby nie stać blisko ognia! – zawołał mój pan i wskazał na mnie. – Oto, co stać się może, gdy kto nieostrożny. Przez nieuwagę ten tu Jakub będzie nosił na twarzy znak ognia...

Znałem już wszystkie sztuczki kuglarza, ale za każdym razem nie mogłem się nadziwić, jak żongluje pochodniami, nie gasząc ich, zwinnie łapie je i okręca dokoła siebie, nie odnosząc przy tym żadnej szkody.

– *Komu się podobało, komu było mało, niech przyjdzie, gdy zmrok zapadnie, zabawię go snadnie!* – zawołał mój pan, gasząc pochodnie.

Bębenek był pełen.

– Proszę w moje progi – rzekł mężczyzna z ptasim nosem.

Poszliśmy więc w górę krętymi, wąskimi schodami.

Kuglarz postawił swój worek w sieni i weszliśmy do niewielkiego pomieszczenia. Rozejrzałem się dokoła. Na grubych, drewnianych półkach stały obok siebie butelki o przedziwnych

kształtach, a pod sufitem wisiało coś, co wyglądało jak ogromna jaszczurka.

Kuglarz wysypał na stół zawartość bębenka i starannie przeliczył. Srebrne monety zgarnął do znanego mi już miejsca i, widząc zdumienie na mojej twarzy, wyjaśnił, iż miedź przyciąga srebro, a srebro przyciąga złoto.

– Czy pamiętasz, jak kupowałem twoje ciżmy? – zapytał.

A jakże miałbym nie pamiętać chwili, w której stałem się posiadaczem najpiękniejszej na świecie pary ciżem – a nawet dwu?

Ludzie przechodzący obok zatrzymywali się i przyglądali moim ciżmom, i tym innym, rozłożonym na kawałku niewyprawionej skóry. Każdy pragnął choćby dotknąć owych wspaniałości! A kupiec nie mógł nadążyć z podawaniem i zachwalaniem towaru – choć zachwyty malujący się na mojej twarzy był najlepszą zachętą.

– Zatem – powiedziałem, chcąc upewnić się, czy dobrze zrozumiałem lekcję – jeśli nikt nie kupuje tego, co sprzedajesz, możesz stać do nocy i czekać, czy tak?

Mężczyzna o ptasim nosie roześmiał się.

– Sprytny ten twój chłopak, Aviusie. Skąd go wytrzasnąłeś?

– To długa i smutna historia – odrzekł kuglarz. A do mnie zwrócił się tymi słowami: – Masz rację, Jakubku. Zawsze znaleźć musi się ten pierwszy, który da dobry początek.

Wziąłem do ręki jeden z dukatów i obejrzałem go dokładnie. Uśmiechnąłem się, widząc niewielki znak, jaki mój nauczyciel wyrzył szpicem noża tak sprytnie, iż tylko bardzo wprawne oko mogło go dostrzec.

W gnieniu oka zrozumiałem, że złota moneta rzucona była na przynętę, podobnie jak, łowiąc ryby, rzucano na wodę okruchy chleba. Zatem...

– Czym różnią się ludzie od ryb? – to ostatnie zdanie wypowiedziałem głośno.

– Niczym, Jakubie. Niczym – powiedział poważnie kuglarz i obróciwszy się w stronę swego towarzysza, rzekł: – Ten chłopak,

choć przykro jest mi tak mówić, to najlepszy interes, jaki uczyniłem w życiu, Ptaszniku.

Mężczyzna o ptasim nosie wskazał mi drewniany zydell i zniknął we wnętrzu domu.

– Nazywają was Avius – powiedziałem, patrząc na mego pana.
– Z jakiej to przyczyny?

Kuglarz uśmiechnął się.

– Ten przydomek łączy się z ptakiem* – wyjaśnił. – Ale mam wiele imion, o czym jeszcze się przekonasz.

Mężczyzna, zwany Ptasznikiem, postawił na stole dwa dzbany – w jednym było wino, w drugim zaś woda. Napełnił winem dwa kubki, a do trzeciego nalał jeno odrobinę i dopełnił go wodą.

– Pij, Jakubie – powiedział. – Mleko zostaw dzieciom.

Jakże to? – pomyślałem. – Wszyscy mieli mnie za dziecko, a tych dwóch traktuje mnie jak podrostka?

– Nie wiek, a umysł o dojrzałości stanowi – wyjaśnił Ptasznik.

– Ty zdajesz się nie tylko mądry, ale i dojrzały ponad swoje lata.

– Nauczę cię rozmaitych sztuczek – rzekł kuglarz.

– Tej z monetami także? – wyrwało mi się.

Obaj mężczyźni wybuchnęli śmiechem.

– Sztuczka z monetami, Jakubie, odpowiednia jest dla karczemnej gawiedzi. To prosty, choć nie do końca uczciwy sposób na zdobycie pieniędzy, kiedy trzos staje się pusty...

– Nie widziałem nigdy u was, panie, pustego trzosa – bąknąłem.

– Bo też szczęście mi sprzyja dość długo – odparł kuglarz. – Ale ciesząc się dzisiaj, nie należy zapominać, iż nadejdzie jutro. A także trzeba czerpać naukę z tego, co było.

Jakże miałem to wszystko spamiętać? Każde słowo mego pana wydawało się godne zapamiętania, a w tym dniu padło ich tak wiele...

– Gdzieście stanęli? – zapytał Ptasznik, ponownie napełniając kubki.

* *Avius* – od łacińskiego *avis* – ptak.

– W karczmie u Szmula – odparł kuglarz. – Późno już było, bramy zawarto.

– Zostaniesz tu – rzekł do mnie nasz gospodarz – a my pójdziemy po wasz dobytek. Nie dotykaj niczego, wina sobie nie nalewaj... bo o wszystkim się dowiem.

Usiadłem na oknie, gapiąc się na ulicę. Widziałem, jak ludzie zaczepiali mego pana, pytając go o coś, on zaś ruchem ręki wskazywał na rozpiętą nad ulicą linę i każdemu tłumaczył coś cierpliwie.

Wino, choć zmieszane z wodą, zaczynało robić swoje. Poczuliem dziwną ociężałość i wyciągnąłem się na ławie. Na jej oparciu wyryty był dziwny znak – przypominał nieco awers monety, na którym widniały niezrozumiałe znaki.

Nie umiałem ani czytać, ani pisać – jak wszyscy w mojej wsi za wyjątkiem księdza. Liczyć potrafiłem jeno na palcach, a nauczyłem się tego, pilnując gęsi. Kiedy pędziłem je na łąkę przy stawie, zginałem kolejno każdy palec i w podobny sposób sprawdzałem, zaganiając je do domu. Zatem umiałem liczyć do dziesięciu, bowiem posiadaliśmy dziesięć gęsi i nigdy nie zgubiłem żadnej z nich.

Babka moja odmierzała zioła na garści, zatem miała swoją własną miarę, a matka, piekąc chleb, liczyła drewniane szufle pełne mąki.

Tak liczono w naszym domu.

Czy znaki wyryte na oparciu ławy oznaczały liczbę, czy też jakieś słowo, tego nie wiedziałem. Senność opuściła mnie natychmiast. Ukłąłem na podłodze i zacząłem przyglądać się znakowi.

Wśród tajemniczych zygzaków dopatrzyłem się dwóch kółek, okrągłych jak koła od wozu, i czegoś, co przypominało cep.

Postanowiłem, że zapytam o to mego pana, kiedy wróci z karczmy.

Czas nie dłużył mi się wcale. Obszedłem dokoła całą komnatę, przyglądając się uważnie wszystkiemu i nie dotykając niczego.

Najbardziej ze wszystkiego zaciekała mnie wielka jaszczurka o pysku pełnym zębów i parę ptaków, które siedziały na belce pod sufitem zupełnie nieruchome, i choć pomachałem ręką, próbując je zmusić do lotu, żaden z nich nawet nie poruszył skrzydłami*.

– Nie są żywe – rzekł Ptasznik, który bezszelestnie pojawił się za moimi plecami.

– Jakże to?! – zawołałem.

– W tym cała sztuka – wyjaśnił. – Przynoszą je królewscy myśliwi, a ja wracam im życie... na pozór. Zdobią królewskie komnaty.

– To wy... to wy znacie króla? – zająknąłem się.

Ptasznik wzruszył ramionami.

– Widuję go czasami – odparł. – Ale wina razem nie piliśmy.

Poczułem się tak, jakby poraził mnie piorun.

– Król człek zwyczajny – wtrącił. – Jeno ma na głowie koronę. A czy od nas szczęśliwszy, tego nie wiadomo.

Słowa mego pana zabrzmiały niby bluźnierstwo, ale nie powiedziałem nic, tylko wskazałem na oparcie ławy.

– I cóż tam widzisz? – zapytał Ptasznik.

– Jakieś znaki – odrzekłem, wskazując na tajemniczy wzór.

– Jakieś to nic jeszcze! – roześmiał się kuglarz.

– To koła od wozu – rzekłem, wskazując na dwa kółka. – A to jakby cep...

Zapadła chwila ciszy.

– Chciałem ofiarować ci zabawkę – rzekł kuglarz, kładąc na ławie drewnianego niedźwiedzia – a tu czas na pergamin i inkaust.

– Na co? – zdziwiłem się.

– Uczyć cię będę – powiedział kuglarz. – Czytać będziesz i pisać.

* Sztuka preparowania zwierząt, zwana taksydermią, była cenioną specjalnością, a wypchane trofea zwierząt łownych uświetniały wystrój sal zamkowych i pałaczków myśliwskich.

– Ja?! – wykrzyknąłem.

– Ty – odpowiedział.

Poczułem się tak, jakby na moich kalekich plecach wyrosły skrzydła. Chwyciłem dłoń swego pana i przycisnąłem ją do ust.

– A dajże ty spokój! – kuglarz oswobodził dłoń i sięgnął po leżącego na ławie niedźwiedzia.

Byłem szybszy.

– No i patrz, waść – kuglarz żartobliwie rozłożył ręce. – Tu inkaust, a tam zabawka.

I obaj wybuchnęli śmiechem.

Ptasznik otworzył stojący pod ścianą kufer i dobył z niego niewielki mieszek.

Włożył doń srebrną monetę i podał mi go poważnie.

– Naści. Cobyś mógł chować swoje skarby – rzekł.

Kuglarz zaś rzucił mi jeden ze znaczonych dukatów.

– Będę ci za służbę płacił – powiedział.

Byłem oszołomiony. Opuszczając rodzinny dom, byłem nie pewny jutra, nie wiedziałem, co mnie czeka, tymczasem działy się rzeczy, o których nawet mi się nie śniło. Bo też jak bym mógł roić o królewskim pałacu, skoro nawet nie wiedziałem, że po świecie chodzi król? Największym człowiekiem we wsi naszej i okolicy był wielebny, najzamożniejszym – pan, a największą władzę posiadała Morowa Dziewica*.

– Teraz pokażę ci miasto – rzekł kuglarz.

Kiedy doszliśmy do wylotu ulicy, stanąłem jak wryty. Pod naszymi stopami zachrzęściła słoma.

– Wóz się przewrócił – zauważyłem.

* Morowa Dziewica, czyli zaraza, roznoszona była przez pchły szczurów. Stan sanitarny osad i miast, a także niski poziom higieny i nieznajomość przyczyn epidemii sprzyjały jej rozprzestrzenianiu. Śmiertelność była niezwykle wysoka, dochodziła do 95%. Ówczesna medycyna nie знаła środków zaradczych.

– Coby! – roześmiał się mój towarzysz. – Kanonik* chory. Głowa go boli, a wozy hałas niemiłosierny czynią...

Dziwne było to wszystko i niepojęte, ale zdążyłem już przywyknąć, iż dokoła mnie dzieją się rzeczy, o których wcześniej nie wiedziałem. W ciągu krótkiego czasu zobaczyłem więcej, niż ktokolwiek z mojej rodziny, ba! – tu poniosła mnie próżność – może nawet nie widział i sam wielebny?

– Głodnyś? – zapytał kuglarz i nie czekając na odpowiedź, wziął z rąk młodej dziewczyny słusznej wielkości kołacz.

Zapłaciwszy, przełamał go na pół i poszliśmy stroną rynku, bo tak nazywał się ogromny plac pośrodku miasta.

Przechodząc obok kościoła wielkiego jak sam królewski zamek, dostrzegłem gromadę obdartusów. Byli wśród nich ślepcy wyciągający dłonie ku przechodniom, kaleki wsparte na drewnianych kulach i beznodzy włóczędzy.

Moją uwagę przykuł mężczyzna o twarzy zasłoniętej kapturem. Musiał to być ktoś szczególny, bowiem ludzie rozstępowali się na dźwięk kołatki, którą potrząsał. Przystanąłem, a wtedy mężczyzna wyciągnął ku mnie dłoń o palcach zakrzywionych niby szpony.

Odłamałem kawałek kołacza, a ręka chwyciła go chciwie.

Na jeden moment kaptur odsłonił twarz pozbawioną nosa, zamiast którego ział czarny otwór. Podobnie wyglądały jego usta.

– Trędowaty – wyjaśnił kuglarz, odciągając mnie na bok.

Dowiedziałem się, iż trąd to straszliwa choroba i z tego powodu chory potrząsa kołatką, aby ludzie zeszli mu z drogi. Nagle coś mi się przypomniało, niby dalekie echo.

– A przecie Chrystus... – zacząłem.

* Kanonik (łac. *canonicus*) – duchowny, członek kapituły biskupiej przy kościele katedralnym. Jest to godność honorowa, nie wymaga posiadania własnej parafii.

– Tak powiada *Pismo* – odparł kuglarz – i było to bardzo dawno temu. O tym rozmawiać się nie godzi, bo stopy jeszcze płoną.

Przyglądałem się ludziom, budynkom i kocim łbom, a mój pan jął opowiadać o czarownicach żywcem palonych na stosach.

– Zatem moja babka miała dużo szczęścia – powiedziałem.

Kuglarz pokiwał głową.

– Gdyby nie ja, mógłbyś zostać wnukiem czarownicy i diabli wiedzą, jaki los by cię spotkał.

Nagle przypomniałem sobie kruka i psa. Po plecach przebiegł mi zimny dreszcz. Niewątpliwie pojawienie się kuglarza uratowało mi życie.

Szedłem obok swego towarzysza już nieco śmielej.

– Cuda-dziwy, cuda-dziwy! – wołał donośnie mężczyzna w kolorowym kaftanie, stojący obok niewielkiej budki. – Dwie głowy w jednym ciele, innych cudów wiele!

Zajrzałem przez szparę i dostrzegłem znane mi już siostry, które tak przeraziły mnie poprzedniego wieczoru.

– Ludzie chętnie dziwy oglądają – rzekł kuglarz.

– A przecie to strach – powiedziałem.

– Strach, nie strach.

W głowie mi się to wszystko pomieścić nie mogło, a szczególnie to, iż w mieście za wszystko płacono pieniędzmi, o których wcześniej wiedziałem tylko tyle, iż Judasz Pana Jezusa za jakoweś srebrniki wydał. Czym te srebrniki były – nie wiedziałem. Jawiły mi się jako małe rybki w stawie, kiedy słońce połyskiwało na ich łusce, i pojąć nie mogłem, jak też można było nimi płacić...

We wsi mojej płacono mąką albo garncem zboża, mlekiem albo serem czy jajkami. Ojciec mój za trumnę przyjmował słoninę, zboże, ser lub pęta kiełbasy, babka za swe usługi liczyła sobie w kaszy i jajkach.

Tu zaś co krok brzęczały sakiewki, liczono grosze i półgrosze, rzadziej dukaty.

– Zaczekaj! – kuglarz zatrzymał się i położył mi rękę na ramieniu. – Patrz uważnie.

Rozejrzałem się dokoła, ale prócz kobiety sprzedającej małe, brązowe gomółki sera nie dostrzegłem niczego ciekawego.

Kuglarz ruchem głowy wskazał mi kupującego, obok którego stało dwóch mężczyzn.

– I cóż? – zapytałem.

Położył palec na ustach. Nim się spostrzegłem, jeden z mężczyzn zachwiał się i wpadł na mieszczanina. Kiedy ten odwrócił się oburzony, drugi zręcznym ruchem odciął mu wiszący u pasa mieczek i przepadł w tłumie.

Zaraz za nim zniknął drugi, a niczego nieświadomy mieszczanin poszedł w swoją stronę.

– To na przestrożę – rzucił kuglarz i ruszyliśmy. – W tłumie najłatwiej stracić mieczek – dodał. – Zatem zawsze noś go na piersi pod kaftanem. Tam sięgnąć trudniej, choć bywają i tacy...

Urwał i zmarszczył brwi. Spojrzałem w stronę, w którą patrzył. Idący ulicą człowiek był wysoki, a ubiór wyróżniał go spośród przechodniów. Miał na sobie szarą opończę, która go do zakonnika upodabiała, a kaptur zasłaniał mu połowę twarzy. Szedł w naszą stronę długimi krokami.

Kuglarz położył mi dłoń na ramieniu.

– *Dodger** – rzekł nieznajomy, a kuglarz ledwie dostrzegalnie skinął głową.

Zamienili parę słów w niezrozumiałej dla mnie mowie, której nijak nie mogłem porównać do języka, jakiego używał w kościele wielebny, i każdy z nich poszedł w swoją stronę. Obejrzałem się, ale zobaczyłem jedynie jego szarą opończę znikającą między kolorowymi kaftanami.

– Kto to? – zapytałem.

* *Dodger* (ang.) – tu: krętacz.

– Zapamiętaj – kuglarz spojrzał na mnie surowo – czasem pytać nie należy. Powiadają, że im mniej wiesz, tym dłużej żyjesz. A teraz chodź, pokażę ci prawdziwego niedźwiedzia.

Patrząc na krępe, silne zwierzę tańczące przy dźwięku piszczałki, szybko zapomniałem o dziwnym cudzoziemcu. Przypomniałem go sobie dopiero wieczorem, kiedy kuglarz przygotowywał się do swego występu.

– Spójrz tam! – rzekł, wskazując kilka stojących na uboczu pańien. – To panny z zamku.

Szeroko otwartymi oczyma gapiłem się na ich dziwne suknie, jakże różne od szat niewiast z miasta.

Panny stały obok siebie, chichotały i nie spuszczały oczu z mego pana.

Na znak dany przez kuglarza, skrzesalem ogień. Zapłonęły pochodnie.

Nie wiedzieć skąd pojawiła się grupa muzykantów i do dźwięku groszy padających na bruk dołączyły piszczałki.

Tymczasem mój pan, dzierżąc dwie pochodnie, znalazł się na drabinie, skąd przeszedł na linę.

Ludzie ucichli. Nad naszymi głowami migotały ogniste koła, pochodnie zataczały kręgi, krzyżowały się ze sobą.

Kuglarz przeszedł na drugą stronę ulicy, zszedł na dół i tańcząc, zniknął w bramie.

Cisza zamieniła się w zgiełk, każdy pragnął znaleźć się obok mego pana, ale ten nie miał zamiaru pokazywać się więcej tego wieczoru.

– Chłopcze – rzekła jedna z dziwnie ubranych pańien. – Kim jest twój pan?

– To mistrz Avius – odpowiedziałem. – Teraz udał się na spoczynek – dodałem, zbierając spod nóg grosze.

– A jak ciebie zwą? – zapytała druga.

– Jestem Jakub, uczeń Aviusa – rzekłem, bowiem tylko tyle przyszło mi do głowy.